Nasz Czyn

NASZ CZYN

WRZESIEŃ — 1933.

Dr. A. DŻOGA.

Rola pism młodzieży szkolnej.

Pismo młodzieżowe. Jest ich tyle. I w stolicy i w najodleglejszym zakątku kresowym żyje, przechodzi niby człowiek swoje dobre i ciężkie koleje. Ale wszędzie jest widomym znakiem zainteresowań i upodobań młodzieży oraz wykładnikiem najistotniejszych poglądów, tego wszystkiego, co żyje w jej umysłach i sercach. Nie chciałaby się za nic z niem rozstać. Zrosła się z jego podłożem, wszystkiemi nerwami weszła w ów fundament swych najgłębszych umiłowań. Czarnemi czcionkami wytłacza w niem swoje „credo". Kocha swoje pismo, gdyż jest cząstką jej bytowania, uniesień i pragnień, jakie wiedzie nieuplątane jeszcze nieuchronnie troskami — jej życie. Najszczytniejsze hasła rzuca na szalę swych młodzieńczych rozważań, świadoma, że wszędzie, na każdym kroku czeka ją praca i trud jej realizacji. Wie, że od własnych wysiłków i woli zależą jej wyniki: wyniki, snute z nieustępliwą konsekwencją, których nic nie potrafi przekreślić, zmóc, zanegować. Zapatrzyła się w owego cyklopa pracy, genjalnego myśliciela St. Brzozowskiego, który rzucił w świat swe napozór paradoksalne hasła, by niemi przemienić rzeczywistość polską, przeorać duszę polską, wkrzyczeć je w wszystkie sumienia polskie: „Pracuj! Czy masz ochotę, czy nie — widzisz cel pracy, czy nie. Pracuj... nie rezonuj!..." Paradoks — ponieważ nie każe się oglądać w najbliższym rzucie na zasadę celowości naszych poczynań; jest jednak wartościowy, bo zmusza do nasilenia naszych możliwości psychicznych postawą człowieka rzetelnego wobec zagadnień, jakie niesie, kłębiące się wokoło nas, życie: czy to będą momenty, drobiazgi, humory, uciążliwości życia szkolnego, czy poważne dążności do przebudowy ustroju świata, jakieś bohaterskie wysiłki „nieznanych żołnierzy", czy ponura tragedja zrywu ducha ludzkiego wzwyż — jakiś tam bolesny Żwirko lub harcerz druh śmierci — świetlany Jasiołd, który na łożu konania marzy o tem, by się nie ugiąć i silnemi nogami wstapić na szubienicę... Za Polskę.

Dzieje, czyny, chwile, jakie niesie tradycja, życie minione, teraźniejszość, przewalająca się w wirze wartościowań — przed nami. Wszystkie

te poczynania w myśl czego jedynie wartościowego tchnienia gloryfikacji pracy, chociażby nawet wzniosłe cele wypaczyły się wśród tajemnic życia — na zaród zagłady naszego bytu indywidualnego — winny być nieustannem dążeniem do dźwigania się duszy ludzkiej — wzwyż.

Pokolenie obecne rozumie wartość pracy. Widzi nieobeszły ogrom zadań, owe obszary życia polskiego, ciągle jeszcze leżące odłogiem.

A młodzież szkolna? W jej organizacjach-harcerstwie, „Straży Przedniej“ roi się od planowych, zdecydowanych pomysłów, projektów, zamierzeń — w pismach młodzieżowych od nawoływań do czynu, poczętego w radości tworzenia.

Prężą się i w młodej Polsce ramiona do pracy... Niech nie będzie w niej tylko — ludzi obojętnych.

K. KÖHSLING
kl. VI.

Prośba.

Proszę Cię, Panie, by w chwili skonania
Doszedł Twych uszu, tej pieśni dźwięk,
Którą na harfie, w godzinie zarania
Grał szaropióry mej duszy jęk...

Pozwól, o Panie, by ta pieśń wysnuta
Z bolu i smutku na cierniach zawodu,
Była tak straszna i taka zatruta,
Jako w zaraniu — jak ongiś, za młodu...

Niech dźwięczą struny, te melodje drżące,
Nizane z krwawych korali i łez,
Niech w nich nie będzie ni drobiny słońca
Pozwól, o Panie!
Jaki początek niech będzie i kres.



MICHAŁ MROZOWSKI
Dyrektor gimnazjum państwowego w Brzozowie.

Jesteśmy jedną dużą rodziną — skupiającą się przy ognisku wiedzy — pozostającą pod opieką ukochanego Ojca naszego, dzisiejszego Czcigodnego Solenizanta. Praca Jego i związana z nią odpowiedzialność ciężka jest, a i czasem niewdzięczna. My niejednokrotnie wyrzekając na takie czy inne rozporządzenia szkoły, — które zdają się być dla nas uciążliwe, wyrządzamy Mu przykrość i boleść. Boć przecie on chciałby tak widzieć nas szczęśliwymi, uśmiechniętymi, choć Sam niejednokrotnie przepełniony jest goryczą i zniechęceniem. My nie widzimy ogromu pracy naszego Opiekuna i zapominamy, że trud Jego przechodzi czasem siły człowieka. Niech Ci, Czcigodny Solenizancie, Bóg błogosławi w tej niewdzięcznej pracy, niech oszczędzi Ci trosk i niepokojów. Oby w Twej duszy nie powstała nigdy chwila zniechęcenia, rozczarowania czy żalu...

Bądź dla nas Opiekunem i Kierownikiem, a my zawsze pójdziemy za Twemi porywającemi wskazaniami.

Kiedyś serce Twe napełni zasłużone zadowolenie z owoców ciężkiej pracy.

Przyjm więc, Kochany Panie Dyrektorze, wyrazy najserdeczniejszego przywiązania i naszego podziwu dla Twych trudów, mozołu z jakim idziesz przez życie jedynie dla naszego dobra. Niech Opatrzność prowadzi Cię przez ową żmudną drogę do chwały i niech Ci gra „święta pieśń szczęścia, co się w każdym śpiewa“

UCZNIOWIE.

WAŻANKA
kl. V.

„O młodości Jana Sobieskiego“

Nie sobieś, ony Sobieski się rodził, nie sobie ι
(Potocki).

Jan Sobieski, późniejszy król polski, urodził się 17 sierpnia w 1629 r. na zamku w Olesku, który zaraz po jego urodzeniu spłonął. Był synem wojewody bełzkiego, późniejszego kasztelana krakowskiego Jakóba Sobieskiego i Teofili z Daniłowskich Sobieskiej. Matka króla Jana III to wnuczka

wielkiego hetmana Polski, Stanisława Żółkiewskiego: typ prawdziwej Polki, gorąco kochającej swój kraj, wnuczka godna wielkiego bojownika Polski. Od najmłodszych lat wpajała w swych synów gorącą miłość do Ojczyzny. Prowadziła ich zawsze do rodzinnego kościółka w Żółkwi, gdzie mieszkali w zamku, zbudowanym przez wielkiego hetmana, na grób pradziadka i wskazywała napis, na nim się znajdujący „O jak słodko i zaszczytnie umierać za Ojczyznę“. Więc już od najmłodszych lat wzrastali młodzi Sobiescy w atmosferze przesiąkniętej wielką i świętą miłością dla Ojczyzny. Ojciec Jan, był to człowiek mądry, wykształcony i od wczesnych lat zaczął uczyć swoich dwu starszych synów Marka i Jana. Mali Sobiescy już jako malcy marzyli o wyprawach wojennych na Turków, na wrogów Ojczyzny.

Jan odznaczał się wielką żywością i wrodzoną inteligencją. Mając lat 11 wraz z dwunastoletnim bratem Markiem, wyjeżdża do szkół do Krakowa pełen przestróg ojca i ukochanej matki. I tak jeszcze w dziecinnych latach opuszcza mały Janek domowe ognisko, zamek w Żółkwi i wyjeżdża do Krakowa, by poznać szerszy świat. Na tem kończy się pierwszy okres życia Sobieskiego, bez kłopotów, pełen dziecinnej swobody.

W Krakowie w szkołach przebywają młodzi Sobiescy kilka lat, i w roku 1646 wyjeżdżają zagranicę, na dalsze studja.

Podczas swojego dwuletniego pobytu zagranicą, zwiedza Jan prawie całą zachodnią Europę. Interesuje się życiem innych narodów, a szczególnie studjuje sztukę wojenną. „Wszędzie uczył się i patrzył“. Wszędzie zwraca na siebie Sobieski uwagę, wzbudza podziw swojemi niepospolitemi zdolnościami i swoją urodą. Jan był bardzo wykształcony jak na współczesne jemu czasy. Dużo, bardzo dużo zawdzięcza Sobieski swoim rodzicom, którzy go tak dobrze poprowadzili.

Imię jego jest zapisane na jednej z najjaśniejszych kart dziejów Polski. Gdy on obejmuje tron, Polska gnie się poprostu z nadmiaru klęsk ogólnych, zniszczona jest prywatą i niekarnością szlachty, wojną z Chmielnickim i Szwedami. Chyli się coraz więcej ku upadkowi. Król Jan III podnosi ją chwilowo i znowu rozsławia imię Polski po całej Europie.

Precz trwogi! ujdziesz z szwanku, Ojczyzno, wszelkiego
Póki Cię tarcza chronić będzie Sobieskiego.

(Pisarski).

W. DUDEK
kl. VI.

Kochajmy pracę.

Istnieje ogólne przekonanie, że praca to ciężar, który koniecznie w życiu dźwigać musimy, że to trud, prowadzący do pewnych warunków byto-

wania. Zapatrywanie się na pracę pod tym kątem widzenia ilustruje najlepiej przysłowie „bez pracy niema kołaczy". Sami zresztą instynktownie, w głębi podświadomości, tak traktujemy pracę. Z tej niechęci rodzi się lenistwo, które, chociaż pojmowane jako wada, jest tylko wiernem odbiciem, niejako materjalnem ucieleśnieniem tego, co w tym względzie myślimy. Czyż jednak sprawiedliwie osądzamy pracę, zaliczając ją do ciężarów życiowych i przykrości?

Nie galopujmy się i nie wydawajmy sądu bez rozpatrzenia atutów pro i contra, zadowalając się jedynie stereotypową i banalną odpowiedzią przeczącą. Praca jest bowiem rzeczywiście trudem, zwłaszcza codzienna, szara wykonana dla spełnienia obowiązku, praca, jako pokonanie oporu i wyczerpywanie sił fizycznych. Praca — powiadamy nieraz — niszczy siły, jest więc nawet w pewnym stopniu naszym wrogiem, unicestwiającym nasz byt indywidualny.

Całkiem logicznie nasuwa się nam wniosek, by biorąc owe przesłanki pod uwagę, można było przedstawić sobie życie bez pracy. Czy byłoby ono błogosławione dla człowieka? Tu już musimy stanowczo odpowiedzieć nie!

Życie stałoby się bowiem wtedy największem przekleństwem dla ludzi, stałoby się najuciążliwszem złem. Skazani bylibyśmy na nieustanną bezczynność, a co za tem idzie, zdegenerowanie i zezwierzęcenie, na zanik władz cielesnych i umysłowych, wkońcu zaś na zupełne zniknięcie z powierzchni ziemi i przestalibyśmy istnieć, zwyciężeni z największą łatwością przez istoty niższego typu. Pracy bowiem, wyłącznie pracy naszego intelektu zawdzięczamy, zasłużone sobie w zupełności miano „króla stworzenia".

Niech sobie zresztą każdy z nas wyobrazi, że nie będzie się już uczył i wogóle pracował ani fizycznie, ani umysłowo. Może ktoś w pierwszym zapędzie zgodziłby się na to, ale z pewnością już po kilku tygodniach tak zbrzydłby mu ten tryb życia, że pragnąłby jakiejkolwiek pracy, nawet nieproduktywnej, byle tylko coś robić.

Widzimy to najlepiej po tych masach bezrobotnych, jak nieszczęśliwie się czują, nie dlatego nawet, że nie zarabiają na utrzymanie, lecz z tego głównie powodu, że tęsknią za pracą. Jest więc ona także pełna pierwiastka twórczego, siły, mocy, którą świat został stworzony.

I dlatego bądźmy dumni, że praca jest potrzebą naszej istoty, bądźmy dumni, szczęśliwi, że mamy nad czem pracować i że dano nam możność tworzenia dla dobra naszego, bliźnich i społeczeństwa, a przez to mamy możność dołączania swej cegiełki do budowy gmachu naszego państwa.

Kochajmy pracę, a wtedy pierwiastek trudu zmniejszy się w niej do minimum.

WANIC H.
kl. V. B.

Eskadra.

Eskadra leci, huczą śmigi
Motorów słychać warkot głuchy,
Klinem się w przestwór wbija, pędzi
I pruje wirów groźne podmuchy.

W zwartym leci szyku — skręca wbok,
Zakreśla koło — i — nagły zwrot...
Tuż nad ziemią krąży spokojna...
Czujna...

Płynie zwolna... wyżej,
Coraz śmielej, chyżej...
Cichną motory...
Tam w błękicie...
... Słyszycie?...

WŁ. HADUCHÓWNA
kl. VII.

Z przed roku...

Zaledwie kilka dni upłynęło od chwili, kiedy obchodziliśmy rocznicę tragedji bohaterskich lotników kpt. Żwirki i inż. Wigury. Dlaczego nazwałam to tragedją? — bo zaledwie zajaśniał triumf bohaterów lotnictwa — już zgasł bezpowrotnie, pogrążając Polskę w bezmiernym smutku. Kalejdoskop życia tych dwóch „Pogromców przestworzy" obrócił się szybko, ukazując obraz minionej katastrofy na polach obcej ziemi. Jak wielka jest zasługa tych „Skrzydlatych rycerzy" nieba, niejeden z nas nie zdaje sobie dzisiaj z tego sprawy. Dokonali czynu, którym zadziwili świat, wysuwając nas na czoło narodów. W dziedzinie rozwoju lotnictwa był to moment — kiedy na horyzoncie zajaśniał genjusz polski, idąc śmiało w zawody z innemi.

Ów bohaterski i nienazwanej wartości czyn ludzi, którzy dźwignęli duszę Polski wzwyż, wymagał silnego hartu woli i nerwów. Zamknięci w „stalowym ptaku" wśród warkotu motoru pruli przestworza, niosąc na skrzydłach zwycięstwo człowieka nad maszyną.

Witała ich Polska tysiącem serc, wśród gwizdu lokomotyw i ryku syren, a dziś, kiedy odeszli w niezmąconą krainę, nad ich grobem, w cieniu jodeł bieli się brzozowy krzyż. Lecz dumna jest dziś Polska, że z jej łona wyszli synowie, którzy dla Niej szli z wichrem w zawody, ofiarując swe życie.

* * *

I dziś nie zapomnieliśmy — my młodzież — o Waszym mocarnym czynie, który na wieki zawarł Wam usta. Przeżywamy znowu ów ponury moment, w którym zmroziła nam serca wieść o Waszym zgonie. Umiłowaliśmy na zawsze Wasze w głuchym trudzie poczęte bohaterstwo dla Polski, kiedyście zamarzyli Jej imię wynieść ponad najpotężniejsze narody świata.

Święta jest dla nas Wasza tragedja i na zawsze zastygły nam w sercach słowa uwielbienia dla Waszego nadludzkiego czynu, który Was zabił, a nam rozwarł usta w niemym, przerażonym krzyku, gdy głośniki radjowe zapłakały wieścią, że Was niema...

Nie przed rokiem, nie przed długiemi miesiącami — ale dziś w tej godzinie przeżywamy ową nieodwołalną, nieuchronną katastrofę, która zmiażdżyła Wasze serca... Zostały tylko krwawe strzępy munduru... Ale pozostał także podniebny zew... że nie nadaremnie, żeście dla... Polski i wieków...

CZARNIECKI STEFAN
kl. VI.

Bezmiechowa.

Polskie szybownictwo rozwija się, jak na czasy kryzysu, ze znaczną szybkością. Jednym z ośrodków tej gałęzi naszego lotnictwa, znajdujących się jeszcze w stadjum rozwoju, jest Bezmiechowa, powiat Lesko.

Góra bezmiechowska położona w pasmie Słonne, jest otoczona z północy i południa przez dwie dość wąskie doliny. Pod szczytem znajduje się obszerny hangar, mieszczący kilkanaście aparatów. Po bokach hangaru, w specjalnych przybudówkach, widać warsztaty, dobrze zaopatrzone w narzędzia oraz obsługiwane przez wyszkolonych i fachowych pracowników.

Na samym szczycie góry powstaje nowy, obszerny budynek, w którym ma się znajdować zarząd lotniska, warsztaty i mieszkania dla lotników przyjezdnych.

Od kilku lat wre w Bezmiechowej życie od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Ten czas stwarza dogodne warunki do pomyślnych lotów. Zwykle przy silnym wietrze i odpowiedniem zachmurzeniu dolatują piloci na szybowcach krytych aż nad Lesko i Zagórz, więc kilkanaście kilometrów.

Tegoroczna wiosna pozwoliła na ustalenie dwóch rekordów polskich, a to długotrwałości lotu przez instr. B. Baranowskiego na 10 godz. 40 min. i wysokości na 1600 m. od miejsca startu przez kpt. Łukasiewicza.

Obecnie lotnisko w Bezmiechowej szybko się rozbudowuje, ponieważ w r. 1935 ma się tu odbyć międzynarodowy konkurs szybowcowy. Do tego czasu ma być wybudowany drugi hangar, krótkofalowa stacja radjonadawcza. Wygodna szosa zaś ma prowadzić aż na sam szczyt góry.

„Szczęść Im Boże“ w dalszej pracy.

PELCZARSKI BRONISŁAW
kl. V. B.

Znaczenie morza dla Polski.

Sam ten wyraz nasuwa przed oczy obraz rozhukanych fal, uderzających z ogromną siłą w brzeg i zwały wody, przelewającej się przez siebie. Groźne morze — jakże dla człowieka pożyteczne. To bogactwo narodu nigdy niewyczerpane, to wolny dostęp do wszystkich zakątków świata, to bezpośrednia komunikacja z całą kulą ziemską i możność prowadzenia handlu ze wszystkimi. Morze wychowuje nam ludzi zahartowanych i zaprawionych do wszelkich niebezpieczeństw, niecofających się przed niczem. Już starożytne narody przyszły do przekonania, że „kto panuje na morzu — panuje nad światem i bogactwa świata całego zagarnia dla siebie".

Zasadzie tej podporządkowali się Fenicjanie, Grecy, Kartagińczycy, Rzymianie i zaczęli budować flotę. W czasach średniowiecznych wysuwają się jako narody żeglarskie Hiszpanie i Portugalczycy. Z czasem te państwa tracą znaczenie na morzu, a ich miejsce zajmują Anglicy i Holendrzy. Anglja zawdzięcza swą potęgę — morzu. Los wojny światowej rostrzygnęła flota koalicji, blokując wybrzeża państw centralnych. Znaczenie morza w czasach obecnych nie zmalało, lecz spotęgowało się, szczególnie dla nas, którzy posiadamy tylko mały skrawek wybrzeża. Niemcy wiedzą, czem jest morze i silna flota i dlatego budują potężne jednostki bojowe, wyposażone w nowoczesne urządzenia. Wiedzą, czem stanie się Polska, mająca morze i dlatego starają się nam je wydrzeć, ale nie wiedzą, że na jeden choćby krok, zmierzający do zabrania najdroższego naszego skarbu, staniemy wszyscy do jego obrony. Na prowokacje i zaczepki — odpowiemy zdecydowaną podstawą.

Naszym obowiązkiem jest pomagać państwu w rozbudowie floty, postępować w myśl rzymskiej zasady „Si vis pacem, para bellum", tak, jak to robią mocarstwa, radzące nad powszechnem rozbrojeniem.

Niechaj więc nikt z nas nie szczędzi grosza ani rąk, gdy idzie o wzmożenie sił naszych na morzu i niech spełnia ten obowiązek z przeświadczeniem, że przyczynia się do potęgi naszego państwa. I dlatego niech do najodleglejszych zakątków Polski dociera mocarny szum — „Wiatru od morza".

M. SEELENFREUD
kl. VI.

Nad morzem.

Kto raz jechał pociągiem popularnym, ten wie już, co to słowo oznacza przepełnienie, nieporządek, brak oznaczonych godzin wyjazdu i przyjazdu, ale zato towarzystwo przeważnie młode i wesołe. Zupełnie taki sam był

pociąg, którego hasło brzmiało „Warszawa—Gdynia V". Odchodził on z Dworca Gdańskiego o godzinie 19-ej, a już o 17-ej z trudem znalazłem miejsce. Po drodze nikt nie wsiada ani nie wysiada, więc zatrzymujemy się tylko wówczas, gdy tor jest zajęty. Około 6-ej rano jesteśmy w Gdańsku.

Na terytorjum Wolnego Miasta widnieją na dachach i dworcach czerwone chorągwie ze swastyką, na dworcu człowiek w brunatnej koszuli i „grüne Polizei". Nie zatrzymujemy się w Gdańsku, gdyż podczas postoju poprzedniego pociągu doszło do awantur pomiędzy jego pasażerami, a obywatelami gdańskimi. W godzinę później jesteśmy już w Gdyni. Na dworcu ruch nie do opisania: turyści, marynarze, a nad całym tym gwarnym tłumem góruje megafon, przez który co chwila zapowiada się czas odejścia jakiegoś pociągu. Zostawiam walizeczkę w przechowalni bagaży i udaję się na poszukiwanie noclegu.

Przedewszystkiem muszę się wyspać. Po południu zwiedzam Orłowo i pierwszy raz widzę zbliska morze. Jest ciemne, drobne fale regularnie uderzają o brzeg i podpływają po piasku aż do moich stóp. Siedzę na wywróconej do góry dnem łodzi i patrzę na dalekie światło Zoppot. Cicho i ciemno... jestem zmęczony i nie chcę się ruszać z miejsca. Wkońcu wracam pociemku, błądzę, po wielu trudach leżę nareszcie w łóżku. Na drugi dzień jadę autobusem do Gdyni.

Konduktorki mówią po polsku i po niemiecku. Jakiś pijany pasażer krzyczy „to moja kaszubska ziemia, galicjaki poco tu przychodzicie". Trzeba go było przemocą wysadzić. W Gdyni zwiedzam port handlowy.

Tu nowe, prawdziwe życie. Pełno tragarzy, marynarzy i dużo takich jak ja, ciekawych wszystkiego.

Przy brzegu stoi kilka statków szwedzkich, które przywiozły stare żelazo. Wielki dźwigar przeładowuje ładunek statku do wagonów.

Zdala dochodzą dźwięki dętej orkiestry.

Przy brzegu stoi pięknie udekorowany okręt „Polonia". Za 15-cie minut odjeżdża on na Nordcap. Muszę się spieszyć, ponieważ niezadługo odchodzi statek na Hel, a ja mam zamiar tam pojechać. W chwilę później stoję na pokładzie „Gdyni", a po dwóch godzinach jestem na Helu. W powietrzu unosi się niemiła woń wędzonych ryb. Sam Hel to mała, lecz pięknie położona wioska. Wieś zbudowana jest nieco odmiennie od naszych, albowiem składa się z jednej ulicy, wzdłuż której stoją kramy z bursztynem i muszlami. Po obiedzie chcę obejrzeć latarnię morską, która znajduje się w lesie. Po 10-ciu minutach drogi jestem na miejscu. Wielka, okrągła czerwona pomalowana wieża. Chcę wejść. Niestety... Wielkie było moje rozczarowanie. Na drzwiach widniała tablica z napisem „Obcym wstęp wzbroniony". Chcąc się pocieszyć udałem się na plażę. Droga pełna piasku jest bardzo uciążliwa.

W kilka minut później jestem nad morzem. Widok bardzo piękny. Właśnie jest odpływ. Zdala, widać powracających z połowu rybaków. Słychać szum pogłębiarki. Trzeba wracać na molo, bo za chwilę odchodzi okręt do Gdyni. Wieczorem jestem w Gdyni, a nieco później w Orłowie. Noc jest bardzo ciemna. Od czasu do czasu latarnia morska oświeca okolicę. Po kilkuminutowem błądzeniu jestem na miejscu, a w chwilę później śpię „jak zabity". Rano znowu do Gdyni. Tutaj zwiedzam port holownikiem od strony morza. Port jest bardzo ładny. Szczególnie imponująco wyglądają dźwigary, których jest przeszło 30. W porcie dużo okrętów przeważają statki szwedzkie. Dość wiele jest floty finlandzkiej, duńskiej i nieco niemieckiej. Właśnie jeden z holowników prowadził okręt włoski, naładowany węglem. Przejeżdżamy koło portu wojennego, który otoczony jest niskiemi falochronami. Port pusty, wszystko bowiem na manewrach. Pozostał tylko pancernik „Bałtyk" niezdatny już do użytku, służący za koszary. W dali — na pełnem morzu widać dwa bliźniacze kontrtorpedowce „Wicher" i „Burza", zbudowane w Cherburgu. Po dwugodzinnych oględzinach — jestem na lądzie. Zostaje mi niewiele czasu, albowiem odejście pociągu jest przyspieszone. Jeszcze tylko kupuję kilka drobnych pamiątek i znowu siedzę w pociągu Gdynia—Warszawa.

MICIAK TADEUSZ
kl. VIII.

Dramaty antyczne St. Wyspiańskiego.

Gdy przyjrzymy się twórczości naszego największego dramaturga to uderza nas zgrupowanie pewnego cyklu dramatów w odniesieniu do jakiejś epoki.

I tak widzimy grupę helleńską, grupę, że ją tak nazwę piastowską, grupę powstania listopadowego i t. p.

Jeżeli powrócimy do grupy dramatów helleńskich, to ta w twórczości Wyspiańskiego zajmuje nie ze względu na czas akcji, lecz dla swych walorów wewnętrznych niepoślednie miejsce. Faktem zaś jest, że utwory te, to raczej twór sztucznej kultury, niż serca przepełnionego bólem i uczuciem, to raczej rozsmakowanie się w antycznem pięknie — niż poruszenia rozbudzonej fantazji.

Wyspiański, jak stwierdza Kotarbiński, bardzo często „przenosił się chętnie w świat helleński, wchłaniał jego pierwotną tradycję". Wchłaniając zaś tradycję i piękno, przejął się tym tak groźnie-potężnym, groźnie-tajemniczym i tragicznym nastrojem dramatów greckich. Wiedząc o tem, nie dziwimy się, gdy czytamy pierwsze utwory z grupy helleńskiej „Meleagra" i „Protesilasa i Laodamję" — dwie jedno-aktowe tragedje, tak pełne grozy, bólu i tragizmu.

Istnieją jednak momenty jak n. p. w „Meleagrze", które z jednej strony są tragiczne, ale z drugiej budzą pewien rodzaj psychicznej odrazy. I tak

Althea-matka, godząca na życie syna-Mdeagra, napełnia nas nie tragizmem, ale grozą, graniczącą z czemś uczuciowo negatywnem.

W obu dramatach narzuca się nam plątanina i przeciwstawienie uczuć, które poeta kreśli z pewnego rodzaju wyrafinowaniem. Sam styl niejednolity, zmienny, pełen przeskoków od rozlewnej prozy do wartkiego, rytmicznego wiersza, posiada pewien swoisty powab.

Silniejszym uczuciowo od „Meleagra“ jest „Protesilas i Laodamja“ tragedja-monolog wdowy Laodamji po śmierci męża-Protesilasa, bohatera trojańskiego. W utworze tym dochodzi Wyspiański wprost do mistrzostwa gdy idzie o stopniowanie uczuć i nadmiaru boleści, która rośnie, wzmaga się, potężnieje i wyolbrzymia, autor okazuje się artystą. Wystarczy wczuć się w monolog szalejącej od nadmiaru bolu duszy Laodamji, aby przejść te wszystkie fazy żywiołowej rozpaczy.

Sam nastrój obu dramatów — to królestwo tragizmu. Niektóre sceny są przepełnione legendowem pięknem, który stwarza nieznany dotychczas nastrój dramatyczny „harmonję dusz łącznie z harmonją przyrody“. Jednak te piękne momenty zwyciężają zło i namiętność, doprowadzone do maximum napięcia, łamiące i zwyciężające wszystko. Duszy ludzkiej trudno pogodzić się z swem przeznaczeniem i ustrojem wszechświata. Życie staje się ciężarem, męką, rozpaczą duszy-Laodamji, bolejącej nad utratą swego ideału-Protesilasa. I choć ból ten miejscami jest skażony jakby elementami nieszlachetnemi, jednak doprowadza Laodamję przez wszystkie cierpienia duszy do królestwa Plutona.

Ale czy ono przyniesie ukojenie i spokój, czy cisza grobu wprowadzi człowieka w szczęście, czy też może przygotuje mu męczarnie...

Widzimy, że zawsze pociągają poetę sceny, w których z kwiecia poezyj wychodzi nieszczęście człowieka — dążność do rozwiązania zagadki bytu. Dążność ta nie może przynieść nam realnych wyników, bo musimy zgodzić się z Żuławskim, że „bóstwa, jakieś zazdrosne tajnej strzegą treści... Pytać ciągle i darmo — to los ludzkich duchów“.

Gdy dołączymy tu jeszcze powstałą nieco później „Achilleis“ — zbiór scen dramatycznych, przeprowadzonych i opartych na cyklu mitów trojańskich, wtedy będziemy mogli śmiało powiedzieć z Nowaczyńskim, że greckie dramaty Wyspiańskiego są „nieulegającym dyskusji, nieśmiertelnym nabytkiem naszej literatury“, bo Wyspiański wszelkie najgłębsze elementy kultury antycznej przeprowadza przez filtr zawartości ogólno-ludzkiej — o wybitnem nasileniu treścią Polaka i wszechczłowieka.

K. KÖHSLING
kl. V.

Jesienna pieśń.

Już w sercu, pieśni nie zagra fanfara...
Jesienny zwolna, zapada już dzień —
Rwie się na strzępy poezja stara,
Do duszy wita boleści cień...
Wokół panuje cichość szara,
Łez pełna gorzkich i boleści,
Że niespełniona jest ofiara
W chwili gdy zżółkły liść szeleści.
Jesienne dźwięki...
Z pod rzęs ostatnia toczy się łza...
Ostatni ton piosenki...
W skrwawionem sercu, łkaniem gra
Jesienna pieśń...
Minęły wiosny dni, zachwytu
Prysnął czar, rozwiał się miraż,
Złotych snów pogody i błękitu.
Maj skonał w kwiecie białych bzów,
Pogrzebał z sobą złotą przędzę snów...
— — — — — — — — —
Lecz pieśń wieczysta głosi,
Że z wiosną wróci znów...

K. WAŻANKA
kl. V. B.

„Alarm“

(*Wspom. z obozu w Pasiecznej).*

Po pracowitym, znojnym „obozowym“ dniu, usnęłyśmy rozkosznie. Z jakiem niebiańskiem uczuciem kładłam się do mojego „komfortowego“ łóżka, może wiedzieć tylko ten, kto zaznał „obozowego życia“. Wprawdzie muszę się przyznać, że na mojem łóżku nie czułam się nigdy pewną dnia ani godziny, gdyż było szalenie „żywe“ i stale tańczyło fox-trota czy inne tango (co kto woli), lecz mimo to spałam zwykle, jak zabita. Naturalnie przed zaśnięciem, mimo „znużenia“ gadałyśmy z pół godziny. Właściwie to była już cisza nocna, ale jak tu utrzymać języczki na uwięzi. Stanowczo za duże poświęcenie i to w takich czasach. Wprawdzie zawsze „obrywałyśmy“ bury za to „zamącanie spokoju“ od komendy, ale nauka szła zwykle w las, (las był blisko) a my dalej robiłyśmy swoje. Wreszcie usnęłyśmy...

Znalazłam się w krainie cudów i marzeń. Wtem... nie wiem dobrze, jak to się stało, w jednej chwili spadłam z obłoków i przeniosłam się do twardej obozowej rzeczywistości. Usłyszałam przeraźliwy gwizd; krótki, długi, krótki, długi... alarm! alarm! Porzucać ciepłe łóżko i gonić gdzieś w pół do dwunastej w nocy na zbiórkę... Ale nie było czasu na „smętne" rozmyślania, alarm to alarm, za pięć minut mam być ubrana i „spakowana". Cały obóz w jednej chwili zawrzał życiem. Nasz zastęp „Świerków" dusi się w swoim namiocie, jedne pakują plecaki, drugie kończą garderobę. Ubrałam się w iście amerykańskiem tempie, zato nasz namiot przedstawia obraz nędzy i rozpaczy, wszystko porozrzucane. Dziękuję! jakby „komenda" teraz zaglądnęła do naszego namiotu... Brrr...

Wreszcie staję na zbiórkę, ze wszystkich namiotów wysypują się druchny... wszystkie rozemocjowane, niektóre jeszcze pół śpią, nie wiedzą zupełnie, co się z niemi dzieje.

Pada słowo komendy; Baczność! i każda zastępowa lustruje „swoje", czy mamy w plecakach wszystko „correct".

No! już po lustracji, oddychamy z ulgą, a teraz do łóżek... nie, jeszcze ćwiczenia nocne. Jak duchy rozbiegamy się po lesie, skradamy się, gonimy...

Księżyc wypłynął na niebo z za chmur i figlarnie, poczciwie uśmiechnął się do nas. Zły nasz humor prysnął, jak bańka mydlana, zaczęłyśmy się wszystkie śmiać, po obozowemu...

Potem wracałyśmy do namiotów już z „pieśnią na ustach":

„Alarm po alarmie, po alarmie alarm,
a po tym alarmie, jeszcze jeden alarm.
A jak urządzimy — my alarm komendzie
Co to wtedy będzie, co to wtedy będzie!
Bo alarm komendy, będzie tak morowy,
Że oprócz menażek, zapomną i... głowy.

M. AGOPSOWICZÓWNA
kl. VII.

Ze wspomnień.

Gdy białe opary mgieł podnosiły się nad ziemią, rosa wieczorna pokryła pola i pachnące łąki, a zmierzch przesłonił przeczysty strop nieba, wracałam do domu z wycieczki, myśląc o tem co było, przeszło i już nie wróci...

Nasza Opiekunka dr. Dżoga, wychodząca z założenia, że poziom pracy harcerskiej zależy przedewszystkiem od dostatecznej ilości dobrze wyszkolonych harcerek, pragnie zwiększyć pilność i wzmóc naszą

wiedzę oraz wymaga od nas o wiele więcej, niż od zwyczajnych uczenic. Chcąc wzbudzić zainteresowanie, skierować pracę w kierunku ideologicznym, urządza cały szereg zbiórek, gawęd i zebrań. Ale oto i nasza wycieczka...

* * *

Gdy świat kąpał się w promieniach słońca, wyruszyłyśmy z pieśnią na ustach w stronę Zmiennicy dźwigając kotły, płachty, saperki, liny i żywność. Parogodzinny swój obóz rozłożyłyśmy na tle pięknego lasu świerkowego. W pierwszym rzędzie budujemy namiot, później kuchnię... gotujemy obiad... słowem stwarzamy rzeczywisty obóz.

Przyjemnie było cały dzień, ale najprzyjemniejsze były chwile wieczorne. Kiedy ziemię zwolna zasłaniała mgła zasiadłyśmy koło ogniska z pieśnią „Płonie ognisko i szumią knieje". Ognisko płonęło jasno, buchało wielkim płomieniem, rzucając jaskrawe światło na twarze zebranych wokół niego harcerek... płynęły śpiewy... gawęda... o „rycerzach od kresowych stanic" potem śpiewy... Wreszcie Opiekunka dała znak, że czas wracać do domu. Z wielką przykrością opuszczałyśmy to miejsce, lecz rozkaz i twarda konieczność...

Powrót do domu z jednej strony był smutny, ale miał też swój urok i powab...

Ostry marsz i śpiew podnosił każdą z nas i dodawał nam sił.

Nareszcie jesteśmy w Brzozowie pod domem naszej Opiekunki.

Na pożegnanie pada gromkie „Czuj!, czuj!, czuwaj!", a potem komenda „wtył zwrot, rozejść się".

SUWAŁA JAN
kl. VII.

Fragment z obozu (w Maniowie).

„W góry, w góry miły bracie,
Tam swoboda czeka na cię!"... — oto hasło naszej wycieczki z obozu drużyny w Maniowie, na szczyt Hyrlatę (1143 m.), Matragórę (969 m.) i szczyt oznaczony na mapie liczbą 1103 m.

Ostatni rzut oka na plecaki, umundurowanie i w drogę. Pierwsze sześć kilometrów przebyliśmy forsownym marszem, nie zważając na okolicę... A była to piękna dolina — koryto górskiej rzeki Osławy, okolona wieńcami lasów szpilkowych, poprzetykana tu i ówdzie zagrodami góralskiemi — prowadząca do stóp Matragóry. Dolina się wkrótce skończyła, a wąską ścieżkę górską zgubiliśmy wśród lasu, zarośli i zwałów kamieni. Z trudem przedostaliśmy się do strumienia górskiego i chcąc nie — chcąc kroczyliśmy po wodzie do góry, (bo lepsza woda, niż te przeklęte komary). Po pół-godzin-

nem wspinaniu się, zobaczyliśmy cudną (niczem fata morgana) połoninę — szczyt — miejsce naszego postoju i popisów kulinarnych.

Po obiedzie marsz na następną górę. Szliśmy wprawdzie ścieżką, lecz ta zdradziła nas, (poprostu szła w innym kierunku) i musieliśmy szybko wracać, aby nadrobić stracony czas. Na szczyt „1103“ weszliśmy bez żadnych przygód (tylko — aha! jeden i to kandydat na ćwika zgubił siekierę). Co do Hyrlaty — to było gorzej, ale po dwugodzinnem marszu byliśmy na szczycie, z którego roztaczał się pyszny widok — góry, doliny, lasy, strumienie, lazur nieba — to przecudna harmonja barw, to niezatarty obraz pozostały na zawsze w pamięci.

Ale zbliżał się wieczór i... trzeba było znowu gotować i szukać noclegu. Druga kwestja została rozwiązana, bo znaleźliśmy opuszczoną (czyt. napoły rozwaloną) kolibę. Po kolacji — spać (ach te komary!)

Rankiem zachwycaliśmy się wschodem słońca, drżąc jednocześnie z zimna.

Potem oglądnięcie szczytu i powrotny marsz do obozu.

L. NYCZ.
kl. VII.

Refleksje

(Z pobytu w Krakowie)

Dziwne uczucie ogarnia człowieka, gdy po raz pierwszy zwiedza Kraków. Sama myśl, że tutaj przed wiekami rozgrywały się najważniejsze wypadki, stanowiące o losach państwa, że tu żyli polscy królowie, przejmuje jakąś czcią, nieokreślonym lękiem nieomal.

Wprost wierzyć się nie chce, że tu przez te same ulice Starego Miasta, któremi dzisiaj suną tramwaje i automobile, postępowały poważne orszaki królewskie, a na Rynku cztery wieki wstecz dumny Krzyżak giął kark przed majestatem króla polskiego...

Jakieś niesamowite uczucie ogarnia duszę... tu żył, działał i umierał Kazimierz Wielki. Tu rodziły się jego tytaniczne plany. Te odrapane, zniszczone budynki i wąskie uliczki były świadkami poświęcenia się Jadwigi dla dobra wiary i przybranej Ojczyzny.

Tam na Kanonicznej Długosz przemyśliwał nad prawdziwą historją Polski.

W starej „Alma Mater“ Kopernik ruszył „Ziemię z posad“.

...Na rynku w ciszy, zalegającej nagromadzone tłumy, padały spiżowe słowa przysięgi Naczelnika Narodu — Kościuszki...

Nakoniec tutaj tworzył swe olbrzymie arcydzieła mistrz Matejko, stąd brał natchnienie do nadludzkich dramatów Wyspiański...

Wobec tych olbrzymów człowiek wydaje się czemś nędznem, jakąś istotą nierealną, błahą.

Mimowoli ciśnie się do głowy to niezapomniane zdanie „próżność, próżność i wszystko jest próżnością“. Jakiś żal, gorycz opanywuje duszę. Gdzież ci genjusze? Co po nich zostało... Ich zapomniane idee... Ich pragnienia nieziszczone... Garść prochu i garść zimnych frazesów?... Czy nic więcej?...

Nie, to niemożliwe... Wielcy ludzie, tytany ducha nie umierają, bo ich myśli żyją, ich idee nie idą w niepamięć, lecz działają i przeobrażają umysły potomności...

MEDWECKI JAN
kl. VI.

Sport w ciągu wieków a dzisiaj.

Już w starożytności rozumiano potrzebę zdrowia ciała, czyli poprostu rozumiano znaczenie sportu. W dziejach Grecji czytamy o igrzyskach olimpijskich, ściągających z całej starożytnej Hellady wielu zawodników, ubiegających się o pierwszeństwo w licznych już w owym czasie rodzajach sportu, jak skokach, biegach, rzutach dyskiem i zapasach. Zwycięzca nie dostawał wprawdzie wtedy puharu tak, jak dzisiaj, lecz wieniec z gałązek oliwnych, a w mieście rodzinnem stawiano mu posąg. Jak wysoko stało wówczas zagadnienie sportu, świadczą o tem szkoły greckie, gdzie nauka prawie wyłącznie zajmowała się wyrobieniem fizycznem młodzieży.

Później sport zmienił tylko swą postać. Na dworach panujących i książąt odbywały się turnieje, w których rycerze walczyli między sobą o pierwszeństwo w wykazaniu sprawności. To także pewien rodzaj sportu, mający na celu wyrobienie fizyczne. Nie stał on wprawdzie na takim poziomie, jak w starożytnej Grecji, bo panowały wtedy inne warunki, ale trwał. Trwał przez całe średniowiecze, przewinął się pod różnemi postaciami przez początki wieków nowożytnych i wreszcie rozkwita wspaniale w czasach najnowszych. Na rozkwit sportu w dzisiejszych czasach wpłynęło wiele przyczyn. Zmienił się sposób życia, zmieniły się warunki w każdej prawie dziedzinie życia.

Dziś wszędzie na każdym kroku słyszymy o wychowaniu fizycznem, o drużynach sportowych, o zawodach, o olimpjadach międzynarodowych, czytamy o tem w każdym dzienniku, słyszymy w szkole i sami bierzemy w tem życiu sportowem udział.

Dzisiaj więc sport odgrywa olbrzymią rolę nietylko w życiu jednostek, klubów, ale nawet całych państw. Tenis, piłka nożna, wspaniałe raidy samochodowe i samolotowe, których wyniki budzą sensancję w całym cywilizowanym świecie.

My młodzież mamy obowiązek brać udział w życiu sportowem, tem bardziej, że mamy ku temu możność i daleko idące ułatwienia. Obok wyrobienia duchowego — wyrobienie cielesne odgrywa olbrzymią rolę, wpływając w wielkim stopniu na należyty rozwój władz umysłowych. Ideał sportowca winien być nietylko ideałem sprawności cielesnej, ale także ideałem dużych możliwości moralnych. Pracujmy zatem dla tego wyrobienia fizycznego, idąc za hasłem „w zdrowem ciele zdrowy duch“.

Z naszego życia.

Samorząd Szkolny przesłał z końcem ubiegłego roku szk. album pamiątkowe p. wizytatorowi Chmajowi. W odpowiedzi na przesyłkę otrzymaliśmy od p. wizytatora list, który niżej reprodukujemy.

„ *Do Wydziału Samorządu Szkolnego uczenic i uczniów gimnazjum państwowego w Brzozowie.*

Za pamięć o mnie, która znalazła swój wyraz w nadesłaniu mi przepięknego albumu Waszych organizacyj szkolnych jak najuprzejmiej dziękuję.

Album świadczy chlubnie o poważnem pojmowaniu ciążących na Was obowiązków.

Pracujcie nadal wytrwale dla dobra i potęgi naszego Państwa“.

Z serdecznem pozdrowieniem.
(—) *J. CHMAJ.*

Nasze harcerki żywo biorą się do roboty. Cały szereg nowych i świeżych wiadomości przywieziony przez nie z kursów dla drużynowych i zastępowych, pozwala na podniesienie wydajności pracy, uprzyjemnienie zbiórek i wycieczek.

Otwarciem i jakby imprezą inauguracyjną była urządzona w dniu 12 b. m. całodniowa wycieczka z obozowaniem.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Harcerze, zdążający do urządzenia własnego obozu, osiągnęli ten wymarzony cel w czasie ubiegłych wakacyj, urządzając trzy-tygodniowy obóz w Maniowie (obok Łupkowa). W czasie od 15 tego — 20 go czerwca urządzili wycieczkę — obóz wędrowny przez: Krosno, Jasło, Biecz, Grybów, Krynicę, Muszynę Rytro, Piwniczną, Szczawnicę do... Pienin... Wykąpali się w Popradzie i Dunajcu, skosztowali bryndzy i olśnieni pięknem gór wrócili do domu — obiecując zabrać się szczerze do roboty — no zoba-

czymy?... Aha — jeszcze jeden z nich był na kursie drużynowych w Suchodole... Teraz marzą o obozie, ale już nad... nad... morzem.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Z inicjatywy Szkolnego Koła L. O. P. P. pozostającego pod opieką p. prof. Lenia urządzono w tragiczną rocznicę śmierci śp. Fr. Żwirki i Wigóry nabożeństwo żałobne i pochód po mieście.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Pamiętną rocznicę Wiednia święcił nasz Zakład uroczyście, biorąc udział w nabożeństwie, pochodzie i akademji... Akademja była bardzo uroczysta i podniosła.

Zwłaszcza przepiękne przemówienie Pana Dyrektora odmalowało nam walkę rycerzy polskich z półksiężycem i dało poznać olbrzymie wartości odsieczy. Orkiestra i chór „Lutnia" to strony artystyczno-wokalne akademji.

J. PREISNER.
kl. I.

Przed burzą.

Wszystko ucichło, nawet wiatr się boi,
Bo stanął... przestał wiać i... stoi...
Trawy nie szemrzą, zboża nie falują...
Nadchodzi burza...

Spokój w powietrzu, spokój na ziemi
Tylko szare wrony skrzydłami czarnemi
Biją ponuro i tej ciszy wtórzą...
...Nadchodzi burza.

J. BODNIAK
kl. I.

Noc.

Cisza... Już noc zapadła wokoło,
po gąszczach leśnych już ciemno —
Tam w dole uśpione sioło,
drzemie w tej ciszy — tak błogo.

Cisza... Noc zwolna objęła świat cały,
— w swe ciemne, skrzydlate ramiona —
Tam zdala na krańcu tej skały —
widnieje ciemny kontur krzyża.

Cisza... Tak głucho i głucho wszędzie,
— gdyż dawno pomilkły echa —
I świat już jak martwy — drzemie,
— Czekając cierpliwie słońca.

Redaktor naczelny: Miciak Tadeusz.
Redaktor odpow.: Kościński Tadeusz.
Opiekunka: prof. Dr. A. Dżoga.

Nakładem „Gminy szkolnej" Gimnazjum Państwowego w Brzozowie.
Ul. St. Białego Nr. 67. Cena n-ru 50 gr.

Drukarnia Tow. Św. Michała Arch. w Miejscu Piastowem.

TOWARZYSTWO · ŚW · MICHAŁA · ARCH · MIEJSCE · PIASTOWE